

Kilka kartek - Konstancin mojego dzieciństwa

Tomasz Henryk Milewski

Sto dziesięć lat (1897-2007) Konstancina, a w nich tyle zdarzeń, tyle wspomnień, tylu wspaniałych ludzi. Kolejne pokolenia właścicieli, mieszkańców. Nowi pasjonaci tego wyjątkowego miejsca na ziemi. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą, a pamięć o nich, nie zapisana, szybko ulatuje, jak powietrze z nadmuchanego balonika. Zwiedzających Konstancin urzekają opowieści o właścicielach nieruchomości, pięknie zadbanych i zagospodarowanych oraz tych zaniedbanych i zrujnowanych. Wszyscy patrząc na stare fotografie Konstancina, uruchamiają swoją wyobraźnię, a zwiedzając to miasto-ogród, czują się obywatelami tamtej epoki. Sto dziesięć lat, historia kilku pokoleń, historia Polski i jej przemian od czasów zaborów, Księstwa Warszawskiego, kolejnych Rzeczpospolitych, w tym i Polski Ludowej. Każdy z tych okresów miał wpływ na historię Konstancina, a piętno niektórych jest widoczne do dnia dzisiejszego. Konstancin i jego historię tworzyli ludzie bogaci, budujący piękne nieruchomości, ale i ludzie biedni, którzy tu przyszli za pracą, stając się z czasem właścicielami różnych nieruchomości, czy też pozostając tylko pracownikami.

Historia mojej rodziny jest związana z Konstancinem od początku XX wieku. Moja Babcia, Franciszka Milewska (1890-1980) z domu Baran, jako kilkunastoletnia dziewczynka po raz pierwszy przyszła z pobliskich Goździ do Konstancina. Idąc wzdłuż torów kolejki wąskotorowej z Cegielni Oborskiej napotkała ścięte drzewa w rejonie wytyczania obecnej ulicy Sienkiewicza. Pierwsze domy, jakie zapamiętała to: „Wieża ciśnień”, „Szwajcarka” i „Pod Dębem”. Poznanie architektury willowej, innej niż wiejskiej, pozostawiło niesamowite wrażenie na młodej dziewczynie, o czym wielokrotnie wspominała. Ślub Babci z Dziadkiem Stanisławem Milewskim (1889-1965) z Bielawy w 1912 roku i usamodzielnianie się młodej rodziny przywiódło Babcie do pracy w Konstancinie. Znalazła zatrudnienie jako pracznia w Cafe-Restaurant „Casino”. Zawsze wspominała wysoki standard obsługi i poziom serwowanych potraw. Obrusy, serwety, serwetki, musiały być wykrochmalone i elegancko wyprasowane, stroje personelu nienaganne, naczynia i sztucce błyszczące. Tu występowali artyści, odbywały się pokazy sportowe i wiele innych imprez okazjonalnych. Dziadek Stanisław, w 1904 roku, mając 15 lat, podjął pracę w Mirkowskiej Fabryce Papieru. W 1958 roku odchodząc na emeryturę otrzymał Dyplom, podpisany przez Samorząd Robotniczy i Dyrektora, w podziękowaniu za 54 lata pracy dla dobra i rozwoju zakładu. Dyplom, oprawiony w ramki zajmuje honorowe miejsce pośród pamiątek rodzinnych. Pokazuję ten Dyplom, wszystkim młodym gościom mego domu jako przykład wielkiej powagi i odpowiedzialności ekonomicznej kolejnych właścicieli fabryki, zapewniających rozwój i stabilizację pracy dla jej pracowników. Fabryka, w pewnym okresie nosząca zaszczytny tytuł „Fabryki Królewskiej Papieru”, przez ponad 200 lat wytrzymała burzliwe dzieje historii, zyskując uznanie dla jej wyrobów i rozwoju produkcji. Od produkcji w budynku „Starej Papierni”, w pewnym okresie „Szmaciarni”, po ogromny zakład produkcyjny, zatrudniający blisko 2000 pracowników. Zakład, od 1947 roku występujący pod nazwą „Warszawskich Zakładów Papierniczych”, nie wytrzymał zmian ustrojowych lat 90-tych i dziś wykonuje produkcję papieru w kilku odrębnych spółkach prawa handlowego. Dziadek Stanisław postąpił się bardzo ładnym charakterem pisma, którego ślady pozostawił na starych, pożółkłych fotografiach. Umiejętność czytelnego pisania i znajomość języka rosyjskiego, zyskała uznanie w pracy. Rosyjskiego, nauczył się samodzielnie. Ukończył tylko szkołę powszechną. Dziadkowi powierzono opisywanie „paszportów” bel papieru na rynek krajowy i rosyjski. Z rodzinnej fotografii z pierwszych lat małżeństwa Babci i Dziadka, bije skromność i elegancja i takich pamiątek z Ich ostatnich dni na tym świecie.

Moje spotkanie z Konstancinem nastąpiło w grudniu 1946 roku, z chwilą przyjsia na świat pierworodnego syna w rodzinie Milewskich [Tata Stanisław (1914-1993), Mama Wanda (1921-2009) z Wiewiórów]. Rodzice pobrali się 24 lutego 1946 roku. Miejscem mojego urodzenia była Królewska Góra, i tak świadczą o tym moje wszystkie dokumenty, aż do chwili uzyskania w 2004 roku nowego dowodu osobistego, gdzie ze względów administracyjnych, określono miejsce mojego urodzenia jako Konstancin-Jeziorna. Okres mojego zamieszkiwania przy ul. Jaworowskiej 4 na Królewskiej Górze był dość krótki. Jako niespełna dwuletnie dziecko zostałem przeniesiony, za zgodą rodziców, do Babci i Dziadka na ul. Batorego 28 (willa "Wrzos") w Konstancinie. Tu przed I Wojną Światową, zamieszkali moi dziadkowie wykonując, poza pracą zawodową, opiekę nad willą i posesją, stanowiącą własność państwa Ponikowskich. Posesja państwa Ponikowskich obejmowała obszar ponad 6000 metrów kwadratowych z budynkiem willowym w części środkowej działki pomiędzy ulicami Batorego i Jagiellońską. Na terenie był kort trawiasty, liczne alejki spacerowe w lesie sosnowym, od strony ulicy Batorego. W części pozostałej nieruchomości las mieszany, nie uporządkowany, z komórkami gospodarczymi. Na grzyby nie trzeba było chodzić do lasu, wystarczyło pozbierać na posesji. Przed domem osiągalne były rydze, a w lesie mieszanym wszystkie pozostałe gatunki grzybów. Posesja była grabiona i odśnieżany był dojazd-dojsie do budynku oraz chodnik do tzw. osi jezdni ulicy Batorego. W części porządkowania lasu mieszanego uczestniczył ogrodnik, pan Socha, który zabierał zgrabione liście na kompost. W sąsiedztwie znajdowały się posesje: willa „Borówka” państwa Wasiutyńskich, gdzie mieszkała m.in. rodzina państwa Mayer (pani Hanna Mayer, znana jako charyzmatyczna Prezes Spółdzielni Mieszkaniowej w Konstancinie), a w tzw. Służbówce rodzina Pietrzaków. Obok posesja i domek „Czerwone Jabłuszko” państwa Daszyńskich z sadem jabłoni, dalej willa „Brzozy”. Pomiędzy sąsiadami panowały stosunki przyjacielskie. Na posesję państwa Wasiutyńskich była furka. Wcześniej, kiedy mój Tata i jego rodzeństwo, wujek Heniek i ciocia Halinka byli w młodzieńczym wieku, ich spotkania z sąsiadami odbywały się na ławkach na posesjach Wasiutyńskich lub Ponikowskich, co w sposób idealny umożliwiało wspomniana wcześniej furka. Ogrodowa ławka, miejsce rozmów, spotkań często występuje na pożółkłych fotografiach. Podobnie było za czasów mojego dzieciństwa. Babcia w tym okresie, prowadziła, w suterynie willi „Wrzos”, domową pralnię dla właścicieli nieruchomości w Konstancinie. Wspomina o tym fakcie, dwukrotnie, Pani Krystyna Machlejd w książce „Saga urlichowsko-machlejdowska”, nazywając Babcie „praczką Milewska”. Od chwili zamieszkania na ulicy Batorego, razem z Babcie chodziliśmy z drewnianym, drabiniastym wózkiem po pościel, obrusy i itp. rzeczy do prania, a po upraniu i wyprasowaniu, odwoziliśmy tym samym wózkiem bieliznę właścicielom. W pamiątkowym wózku mam wykonane pierwsze w życiu zdjęcie fotograficzne. Długie, kręcone, jasne włosy, Ja w czapce z pomponem.

Życie w Konstancinie, na początku lat pięćdziesiątych przebiegało w sposób wyjątkowo spokojny, przyjacielski i życzliwy. Okres II Wojny Światowej nie doprowadził do zniszczeń w istniejącej zabudowie willowej Konstancina, jak i w otaczającej je przyrodzie. W mojej pamięci pozostał czysty, uporządkowany, ogrodzony park, z kąpieliskiem przy moście kolejki konstancińskiej. Staw „Gołąbka”, z przystanią kajakową i wypożyczalnią rowerów. Plac zabaw dla dzieci. Piaszczysta plaża kąpieliska, pływające załogi kajakowe, spacerujący i wypoczywający dorośli i dzieci. Kasyno z osłoniętym tarasem, balkonami i piękną salą restauracyjną, wewnętrzny dziedziniec z krużgankami. Na zewnątrz, ukwiecony klomb, ozdobna altanka, a w naturalnym zagłębieniu ziemnym, ogrodzony drewniany parkiet taneczny (dechy) i grająca kapela. Stacja kolejowa z sapiącym i przeraźliwie pogwizdującym parowozem. Lokomotywa, tak jak ją sobie wyobrażałem, ze słynnego wiersza Juliana Tuwima. Drewniany z wieżyczką, dworzec kolejowy z poczekalnią i barem. Z tego dworca jeździłem z Babcie do Warszawy. Kolejka dojeżdżała wtedy do stacji Warszawa-Belweder w rejonie dawnej skarpy Wiślanej w okolicę ul. Spacerowej. Dalej prowadziły strome schody na skarpe, na ul. Dworkową, naprzeciw ul. Madalińskiego. Przy Dworkowej był bazar, mokotowski „Różycki”. W Konstancinie, nieco dalej od dworca znajdował się skład opałowy. W pobliżu, w willi „Pod Diabłami”, kino. Kino również w Mirkowie. W rejonie dworca kolejowego i pobliskiego parku toczyło się główne życie kulturalne Konstancina. Tu organizowała, z przyjaciółmi, imprezy rozrywkowo-sportowe dla dzieci i młodzieży, pani Jadwiga Pate. Były konkursy, gry, biegi i wyścigi rowerowe w różnych kategoriach wiekowych. Sprzęt rowerowy różnych marek i wielkości. Ściagał się każdy, kto miał rower, nawet na rowerze dla dorosłych, jadąc techniką tzw. „pod ramą”. Były to imprezy spontaniczne, organizowane przez pasjonatów, zapewniających dobrą zabawę, organizację i nagrody dla zwycięzców. Do tych tradycji powróciło po latach Towarzystwo Miłośników Piękna i Zabytków Konstancina, organizując pierwsze obchody „Dni Konstancina” które, kontynuuje obecnie Konstanciński Dom Kultury. Konstancin tego okresu to zadbane ogrody, budynki, posprzątane chodniki, ulice, na ulicach wypielęgnowane drzewa o kulistych kształtach koron. Takie aleje tworzyły ulice: Sienkiewicza, Żeromskiego, Batorego, Sobieskiego i inne. I komu to przeszkadzało!

Rozebrano tory kolejki do Cegielni Oborskiej, parowóz zastąpiono wagonami motorowymi, zlikwidowano wjazd kolejki wąskotorowej do Konstancina. Rozebrano Dworzec kolejowy i urządzenia peronowe, przestał istnieć skład

opałowy, pozostały jedynie fragmenty szyn na moście przez rzekę Jeziorkę i na mostku przez Strumyk. W budynku Kasyna mieszkali jacyś ludzie, mieścił się magiel, niektóre pomieszczenia służyły do gier m.in. w tenisa stołowego. Budynek ulegał dewastacji i zniszczeniu aż, nastąpiło jego rozebranie. Głównym obiektem restauracyjnym stała się Restauracja Berentowiczów. Parku już nikt nie sprzątał, rozebrano „dechy”, powoli zaczęły znikać fragmenty ogrodzenia. Zlikwidowano przystań kajakową, kąpielisko powoli zdziczało, a woda w rzece Jeziorce coraz mniej nadawała się do użytku. Powoli zaczęto likwidować uliczne aleje drzew. Coraz rzadziej sprzątano chodniki i ulice. Piękne wille zasiedlono w okresie powojennym lokatorami nie zważając na prawa ich właścicieli. A w latach pięćdziesiątych i później lokatorzy ci uwierzyli, że to, co ich otacza jest dobrem wspólnym i mogą z niego w pełni korzystać. Piękne pokoje willowe przydzielano rodzinom, często, wielodzietnym i ten jeden pokój kwaterunkowy był jednocześnie kuchnią i sypialnią. W garażach, komórkach, rozpoczęła się hodowla drobiu, trzody, królików itd. Pamiętam, jakie wzburzenie właścicieli willi „Julia” budziła hodowla kur na ich posesji, przez jednego z lokatorów, czy też sytuacja, z lokatorami, w willi „Venus”. Skutki tego okresu są widoczne do chwili obecnej, szczególnie w budynkach dalej pozostających w kwaterunku Urzędu Gminy.

Lata pięćdziesiąte. Życie mieszkańców Konstancina. Komunikacja autobusowa do Warszawy i Piaseczna. Autobusy z drabinkami z tyłu pojazdu, umożliwiającymi wchodzenie na bagażnik dachowy. W zimie, chłopcy łapali się drabinek i na łyżwach, butach, czasami udawało się utrzymać przejazd pomiędzy przystankami. Kolejka wąskotorowa do Wilanowa i Piaseczna ze stacjami „Klarysew”, „Jeziorna”, „Rozjazd Oborski”, „Skolimów”, „Chyliczki”. Szybkość poruszania się pociągu była określana dowcipnie, „Można wyskoczyć z pierwszego wagonu, kupić, wypić piwo i zdążyć wskoczyć do wagonu ostatniego”. Wyremontowana i dobrze utwardzona ulica Warszawska (ob. Piłsudskiego) umożliwiała dobry dojazd do rezydencji Bolesława Bieruta na Królewskiej Górze. Na ulicy Żółkiewskiego brama wjazdowa, strażnica wojskowa, a dalej ulica z czerwonej kostki z wysepką do zawracania pojazdów. Zajęta na rezydencję willa doktora Werthaima. Mieszkającym i często widzianym w Konstancinie był Józef Cyrankiewicz. Popularne sklepy ogólnospożywcze: „U Karkowskich” na Małej Jeziornie, „Pod Dębem” w Konstancinie, „U Mroza” Mrozowskich na Królewskiej Górze, na Brzozowej i przy Kolejowej, charakteryzował widok na ladzie skrzynek z blokami, masła, marmolady, sprzedawanych na wagę, a na sztuki cukierków. Cukiernia „Sosnowskiego” w Konstancinie przy ul. Warszawskiej (ob. Piłsudskiego 40) i wyjątkowy, obecnie niespotykany zapach ciast. Z tą Cukiernią wiąże się historia, jaka zaistniała po śmierci Pana Sosnowskiego. Cukiernia, była pod adresem przy ul. Warszawskiej, natomiast Państwo Sosnowscy mieszkali w willi przy ul. Sienkiewicza 11. Pan Sosnowski miał psa, rasy nieokreślonej, który towarzyszył swemu Panu w dzień i nocy. Po śmierci Pana Sosnowskiego, pies krążył pomiędzy Cukiernią a domem, nie jedząc, nie pijąc, dając głos - skowytu rozpaczny. W dniu pogrzebu, przy wyprowadzeniu ciała zmarłego z domu, uczestników tej smutnej uroczystości i swojego Pana pożegnała psia aria rozpaczny. Następnego dnia pies odszedł z tego świata - poszedł dalej służyć swemu Panu. Cukiernia zakończyła swą działalność.

Innym szczególnym miejscem był Plac Sportowy, a na nim boisko piłkarskie, ogrodzone niskimi barierkami. Tu rozgrywał w niedzielę mecze RKS „Mirków”. Tu odbywały się zawody i pokazy motorowe oraz inne imprezy sportowe. Tłumy kibiców za barierkami i na okolicznych drzewach. Samochody z napojami, ruch w pobliskim sklepie „Złoty Róg” i krzykliwy lodziarz, sprzedający lody na patyku. Po wybudowaniu stadionu w Mirkowie, rozgrywki piłkarskie zostały przeniesione na nowy stadion, a plac służył zgromadzeniu rozpoczynającemu pochód pierwszomajowy w mieście. Dziś po Placu Sportowym, pozostała tylko nazwa przystanku autobusowego, jako miejsca w Konstancinie.

Gdzie w tym czasie pracowali mieszkańcy Konstancina? Największym przedsiębiorstwem były Warszawskie Zakłady Papiernicze w Jeziornie produkujące różne papiery. Zakład Mechaniki Precyzyjnej INCO w Jeziornie produkujący zegary, ciśnieniomierze, stalówki itp. Fabryka Pasty do Butów „BARWA” w Skolimowie producent m.in. past do obuwia. Cegielnie: Oborska i Chylicka. Zlokalizowany w kilku budynkach willowych Szpital Chirurgii Kostnej, późniejszy STOCER, z głównym budynkiem „Mon Repos”. Moja Mama pracowała w szpitalu, stąd w pamięci mojej pozostały ciasne pomieszczenia „Mon Repos” oraz budowa głównego gmachu obecnego STOCER-u, na którym widniała tablica mówiąca o tej budowie jako darze narodu amerykańskiego. Tablica dość szybko znikła i nikt o tym fakcie nie wspomina. Sądzę, że w dokumentach STOCER-u znajdują się jakieś wzmianki na ten temat. Wymieniłem największe firmy, lecz poza nimi funkcjonowało wiele drobnych warsztatów i innych placówek zatrudniających właścicieli i mieszkańców Konstancina.

Wille właścicieli Konstancina zostały zasiedlone różnymi rodzinami lub osobami z tzw. kwaterunku. W przykładowej willi „Wrzos”, dziadkowie zajmowali kuchnię i pokój tzw. służbowy, na parterze z odrębnym wejściem z zewnątrz do budynku. To wejście było też jedynym wejściem do piwnic i suteryny. Salon Państwa Ponikowskich, z pięknym kaflowym piecem zajmował zegarmistrz Gajewski. Małe przyległy pokoiki, mój stryj Henryk z żoną Władysławą. Pokój z wyjściem na taras, rodzina czteroosobowa. Na klatce schodowej była jedna łazienka, z sedesem, umywalką i wanną. Całe piętro, pięć pokoi, kuchnię, łazienkę, wc, zajmowała babcia i rodzice popularnego aktora Karola Strasburgera. Babcia Strasburgerowa miała swoją posiadłość przy ul. Wilanowskiej w Konstancinie. Sądzę, że rodzina Strasburgerów została tu przesiedlona albo mieszkała w willi za zgodą Państwa Ponikowskich. Karol bywał u Babci tylko w dni świąteczne, gdyż mieszkał i uczęszczał do szkoły w Warszawie. Dla mnie był pierwszym kolegą z podwórka, gdyż pozostali mieszkańcy byli już osobami dorosłymi. Babcia Karola była wspaniałą kucharką i robiła m.in. wspaniałe torty i ciasteczka. Po wyprowadzeniu się rodziny Strasburgerów, piętro zostało przydzielone sześciu samotnym osobom i rodzinie dwuosobowej. Opisałem zasiedlenie willi „Wrzos” celowo, gdyż taki sam los dotknął wielu właścicieli Konstancina, a dla niektórych nawet zabrakło miejsca we własnych domach. Życie mieszkańców urozmaicali domokrażcy. Zaopatrzenie bezpośrednio do domu w mięsa zapewniał osobiście Pan Oklej, w mleko i sery Pani Ziemska, prowadząca zaopatrzenie z obwieszonych bańkami roweru. Nowalijki, kwiaty, były u ogrodnika Sochy. Owoce z sadu Zacharasiewiczza, położonego w rejonie pomiędzy ulicami: Wilanowską - Od lasu - Sobieskiego - Dąbrówki. Teren sadu został przekazany przez rodzinę Zacharasiewiczów Gminie Konstancin-Jeziorna. Powstało tu osiedle na miarę okresu Polski Ludowej. Opał, węgiel, przeprowadzki - serwowala rodzina Paulinków - transport samochodem napędzanym węglem drzewnym na „tzw. Holtzgas”. Uszycie ubrania - krawiec Ponikły, a kupon tkaniny można było kupić u Pani Pate. Na ulicach, co pewien czas dźwięczał odgłos uderzeń młotka w metalową blachę i okrzyki szlifierza noży i nożyczek, czy też idącego z wozem konnym zbieracza butelek i szmat. Wszyscy do siebie chodzili, rozmawiali, pomagali, radzili. Babcia, będąc praczką i organizatorką uroczystości kościelnych, a jednocześnie osobą miłą, rzeczową, konsekwentną i oddaną, cieszyła się niesamowitym autorytetem wśród mieszkańców Skolimowa, Konstancina i najbliższych okolic. Miała ukończoną tylko szkołę powszechną, natomiast bez kompleksów prowadziła rozmowy z osobami wykształconymi, jak równy z równym. Była osobą powszechnie szanowaną i uznawaną. Razem z Babcią często bywaliśmy w domach właścicieli nieruchomości Państwa: Machlejdów, Ronikierów, Lipińskich, Strasburgerów, Prekerów, Paulinków, Żeromskich, Pomianowskich, Fijałkowskich, Grątkowskich, Gutkowskich, Kowalskich i wielu, wielu tu nie wymienionych. Szczególne wrażenie robiły pomieszczenia w domu państwa Machlejdów. Piękne obrazy na ścianach, meble stylowe, zegary, srebrne zastawy za szkłem witryn, szykowne zastawy w oknach. Przesympatyczne i miłe Panie Krystyna Henisz, Krystyna Herze-Górska, Julek i pozostali członkowie rodziny Machlejdów. Niesamowite wrażenie sprawiała posesja państwa Pomianowskich, przy ul. Jaworowskiej. Państwo Pomianowscy byli znanymi cukiernikami prowadzącymi cukiernię w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście 7. Olbrzymi teren (kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych) pomiędzy ulicami: Warszawską, Prusa i Jaworowską, mocno zalesiony, a pośrodku mały uroczy, jak na zabudowę Konstancina, dom, otoczony żywopłotem i alejkami dojazdowymi. Opodal zabudowania gospodarcze i mieszkanie ogrodnika. W głębi sad drzew owocowych, szklarnie wykorzystujące naturalne zasilanie w wodę z przepływającego przez posesję Strumyka. Przy ul. Batorego 23, w domu stanowiącym własność państwa Pfeiffer, mieszkały m.in. rodziny Kiełków, Jarząbków i Bednarczyków, a także słynna „Konsulowa” słynąca z niepowtarzalnych kreacji i kapeluszy. U państwa Bednarczyków w 1956 roku, był pierwszy w okolicy telewizor, słynna „Wisła”. Seanse telewizyjne gromadziły dorosłych i dzieci, a mały pokój z aneksem kuchennym, stał się salą telewizyjną „Starego kina”.

Moja edukacja szkolna rozpoczęła się od Przedszkola, które mieściło się przy ul. Warszawskiej (obecnie Piłsudskiego 42), a następnie zostało przeniesione na ul. Sienkiewicza, do willi stanowiącej wcześniej własność Państwa Paschalskich. Z tego okresu pozostały mi w pamięci zdarzenia. Pierwsze związane z placem

sąsiadującym, od strony parku z posesją, na której stał budynek przedszkola przy ul. Warszawskiej 42. W ogrodzeniu tego placu była furtka, a za nią dziki, zarosnięty różną roślinnością, niedostępny ogród. Wśród dzieci spopularyzowano opowieść o Wampirze, który tam mieszka. I wszyscy bardzo się baliśmy tego ogrodu. Natomiast w budynku Przedszkola przy ul. Sienkiewicza nie było już tego rodzaju strachu. Była wspaniała atmosfera. Drugie, to wspomnienie o mojej partnerce, z pierwszej pary tanecznej krakowiaka, Maryli Müller. To była para taneczna. Szybko minął najszcześniejszy okres przedszkolaka i wypadło ruszyć po naukę do szkół. W 1954 roku, Szkoła Powszechna w Konstancinie mieściła się w trzech budynkach przy ul. Warszawskiej 28 (obecnie Piłsudskiego) oraz przy ul. Matejki w willi „Biała” i drewniaku (obecnie nie istniejącym) przy ul. Sobieskiego naprzeciwko Krzyża Misyjnego. W tym nieistniejącym „drewniaku” pobierałem pierwsze szkolne nauki, gdzie na przerwę najszybciej wychodziło się przez niskie okna na parterze. Porządku pilnował nauczyciel Pan Darek z odpowiednim „tłumaczem” w ręku. Do drugiej klasy szkoły powszechnej chodziłem już do willi „Białej”.

W pamięci utkwiło mi zdarzenie związane ze śmiercią Bolesława Bieruta. Zawsze kolorowy i barwny „Świerszczyk” dla dzieci, na znak żałoby na pierwszej stronie zamieścił czarno-biały portret Bolesława Bieruta przepasany kirem. Wszystkie napisy w czerni. W tym czasie dyrektorem szkoły powszechnej w Konstancinie był Pan Dyrektor Zieliński, ojciec znanej dziennikarki Krystyny Zielińskiej. Pan Dyrektor Zieliński, prowadził edukację dzieci Babci: mego taty Stanisława, stryjka Henryka i cioci Halinki, co zostało utrwalone na licznych fotografiach. Za moich lat szkolnych uczniowie i mieszkańcy Konstancina doczekali się nowego budynku szkoły przy ulicy Żeromskiego. W domowych zbiorach fotografii jest zdjęcie z wmurowania kamienia węgielnego pod budynek szkoły, z moją Babcią Franciszką na czele, która mimo cywilnego charakteru uroczystości, własnoręcznie poświęciła, wodą święconą, miejsce wmurowania kamienia węgielnego. Po dojściu do władzy Władysława Gomułki w okresie tzw. odwilży, już w nowym budynku szkoły razem z Babcią wieszaliśmy krzyże w klasach i odbyło się „ciche” poświęcenie szkoły przez księdza Żelazowskiego. Krzyże dostarczył ksiądz Żelazowski. Przez ponad rok nawet trwała nauka religii w klasach szkolnych. Prowadzili ją katecheci cywilni. Lekcje religii zatraciły swój urok i sens i stały się odwrotnością, do tych prowadzonych wcześniej w ciasnej zakrystii kościoła w Konstancinie, przez Siostrę Stanisławę. Religia powróciła do pomieszczeń kościelnych, w zakrystii i piwnicach plebani, a krzyże ze szkoły gdzieś znikły.

Babcia Franciszka, prowadząc pralnię w suterynie willi „Wrzos” zajmowała się także opieką nad dziewczętami (bielankami) stanowiącymi asystę przy uroczystościach kościelnych. Na początku w Parafii w Skolimowie, potem w Skolimowie i Konstancinie, a później w kościele parafialnym w Konstancinie. Decyzja Babci o oddaniu się służbie na rzecz kościoła, wynikała z wdzięczności Bogu za uratowanie życia, wskutek zakażenia rany kłutej palca wskazującego prawej dłoni w czasie pracy w Cafe-Restaurant „Casino”. Stan zagrożenia minął i skończył się utratą jedynie palca wskazującego. Babcia swą misję realizowała z olbrzymią pasją i poświęceniem. Jej opiece organizacyjnej podlegały wszystkie procesje liturgiczne i uroczystości kościelne. Zaczynało się od prania i prasowania komży asysty męskiej, komży ministrantów, sukienek kościelnych bielank, szarf do chorągwi. Czyszczeniu i reparacji poduszek liturgicznych, po wykonywanie elementów dekoracyjnych. Na podwórku przy ul. Batorego 28 wiecznie były rozciągnięte, pomiędzy drzewami, dziesiątki metrów sznurów do wieszania bielizny, na których suszyły się szaty liturgiczne. Podstawą były tkaniny bawełniane, wymagające starannego prania i prasowania. Wystarczyło, że Babcia kupiła lub otrzymała, od kogoś namalowany obrazek święty, odpowiedniej wielkości, to natychmiast był on zamieniany w poduszkę liturgiczną. Wystarczyło trochę atlasu, jedwabiu, koronek, wstążek, taśmy pasmanteryjnej i sznura ozdobnego, aby powstała poduszka dla bielank. Przygotowanie uroczystości odpustowych, Bożego Ciała, majowego, czerwcowego, różańca-październikowego i procesji pogrzebowych w kościołach w Skolimowie i Konstancinie należało do obowiązków, „wolontariuszki”, Babci Milewskiej. W książce „Saga urlichowsko-machlejdowska”, Pani Krystyna Machlejd określa Babcię jako „Ceremonienmajstra”, który prowadził i dyrygował konduktem pogrzebowym, dozorca Państwa Machlejdów, Jana Nażwikowskiego. Babcia była właśnie takim „Ceremonienmajstrem” wszystkich procesji.

Ceremonie zaczynały się od przygotowania: chorągwi, sztandarów, poduszek liturgicznych, strojów dla asysty, wianków dla dziewczynek. Zdejmowała z „chóru”, przy pomocy kościelnego, a potem moim, drzewce do sztandarów i chorągwi, podwieszała szarfy, zносиła po wąskich schodach ciężkie haftowane chorągwie i pozostały osprzęt dla asysty. To ona, szukała panów do poniesienia w procesji krzyża, sztandarów i chorągwi, ubierała ich w komeżki, ustawiała i prowadziła w szyku procesyjnym. Zachęcała mamusie z dziewczynkami, by pozwoliły córkom na udział w asyście kościelnej i zapraszała do stałego udziału w uroczystościach kościelnych. Dziewczynkom sypiącym kwiatki przygotowywała koszyczki pełne kwiatów i zapewniała ich uzupełnienie w czasie procesji. Po procesji lub po okresie procesyjnym wszystko znów wracało na „chórek”. Przy każdej okazji Babcia zbierała i suszyła płatki kwiatów dla „sypaczek kwiatków”. Zaprzyjaźniony ogrodnik, pan Socha zbierał lub zapraszał do zbierania, przekwitających płatków kwiatów w swoich szklarniach i ogrodzie. Uroczystości Bożego Ciała miały wtedy wyjątkowy charakter. W Konstancinie istniał szczególny sposób obchodzenia oktawy Bożego Ciała. Uroczystości zaczynały się w czwartek Bożego Ciała w kościele parafialnym w Skolimowie, na które przychodzili wierni w procesjach z kościołów w Konstancinie i Mirkowie, ze sztandarami, chorągwiami i pełną asystą liturgiczną. Następnie wszyscy uczestniczyli w procesji do czterech ołtarzy w Skolimowie. Po uroczystości procesje wracały do swoich kościołów. W niedzielę, oktawy Bożego Ciała odbywała się procesja do czterech ołtarzy w Konstancinie, na którą przychodzili w procesjach wierni ze Skolimowa i Mirkowa. Natomiast w czwartek zamykający oktawę Bożego Ciała uroczysta procesja do czterech ołtarzy odbywała się w Mirkowie, na którą przychodzili wierni w procesjach ze Skolimowa i Konstancina. Utworzenie odrębnych parafii w Konstancinie, Mirkowie oraz ograniczenie swobód poruszania się procesji po mieście spowodowało, że już później każda z parafii organizowała procesje Bożego Ciała we własnym zakresie.

Corocznym wydarzeniem, na które ściągali tłumy mieszkańców Konstancina i okolic, był odpust 2 sierpnia w kościele parafialnym w Skolimowie pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej. Wzdłuż ulicy Kościelnej, po jej obu stronach rozstawione były stragany odpustowych handlarzy, „kolorowe jarmarki”. Na wtedy niezabudowanym placu pomiędzy ulicami Kościelną a Oborską znajdowało się centrum hazardu i rozrywki. Karuzele dla dzieci i dorosłych, strzelnice, urządzenia dla siłaczy, z popularnym czołgiem do jednoręcznego pchania po konstrukcji stalowej. Rzutnie lotkami do tarczy, a szmacianymi piłkami do piramidy ustawionej z puszek itp. Stoliki karciane, tu „oczko” tam „poker”, dalej „pasjans” i „trzy kubki lub lusterka”. Gwar przebywającego tłumu, pokrzykiwania handlarzy, dźwięki muzyki, odgłosy śpiewu ulicznych grajków i tak co roku do późnych godzin wieczornych. Dodatkowe „wspomaganie” dawała restauracja „Pod Sosnami” i sklepy Skolimowa. Odpust w Skolimowie, był jedną z największych uroczystości kościelnych i rozrywkowych w okolicy.

Do służby liturgicznej kościoła zostałem przyprowadzony i ubrany w komeżkę, przez Babcie Franciszkę, chyba w wieku około trzech lat, bo w mojej pamięci pozostała postać starego księdza Burzyńskiego, który zmarł w 1950 roku. Na plebani, po śmierci ks. Burzyńskiego pozostały jego siostry Waleria i Maria, która wykonywała prace kuchenne. Pani Waleria zmarła w 1959 roku, natomiast pani Maria zmarła w 1976 roku, doczekawszy w zdrowiu, wiekowych 100-tu lat. W 1950 roku, skierowany do pracy duszpasterskiej w kościele w Konstancinie, stanowiącym filię parafii Skolimów, został ksiądz Eugeniusz Żelazowski. Siostry ks. Burzyńskiego, miały do wyłącznej dyspozycji dwa pokoiki na górze plebani oraz dwa klęczniki w prezbiterium kościoła, gdzie przychodziły się modlić i uczestniczyć w Mszy Świętej. Pani Maria gotowała i przyrządzała posiłki dla księdza. A ponieważ była znakomitą kucharką, to serwowane przez Panią Marię posiłki, posiadały niesamowite walory smakowe. W konstancińskim kościele, w okresie powojennym zlikwidowano podział dusz na bogate i te biedniejsze. Dla bogatych parafian były oznakowane imiennie miejsca siedzące w ławkach i na krzesłach. Pozostali wierni mieli swoje miejsca, przeważnie stojące, w tylnej części kościoła, za ławkami i pod chórem. Jeszcze za moich czasów na wielu krzesłach widniały imienne tabliczki osób uprawnionych. Ksiądz Eugeniusz Żelazowski, uzyskał od początku swej posługi w Konstancinie, duże uznanie u wszystkich wiernych swą otwartością na problemy ludzkie i życiowe. Był bardzo konsekwentny, wymagający od innych, ale i od siebie. W okresie II Wojny Światowej, Niemcy zrabowali dzwony kościelne. Kościół bez dzwonów był niewyobrażalny dla księdza Żelazowskiego. Szybko znalazł poparcie społeczeństwa Konstancina i fundatorów, którzy sfinansowali zakup nowych dzwonów. W 1950 roku, dzwony o imionach „Eugeniusz, Stefan-Zygmunt” i „Roman” zostały poświęcone i zawisły na wieży kościoła. Ksiądz Żelazowski w sposób szczególny pozyskiwał fundatorów, którzy chętnie finansowali potrzeby kościoła. Drzewiec sztandaru, chorągwi przy poświęceniu, miał nabijane ozdobne imienne ryngrafy sponsorów, co było dumą, zaszczytem i wyróżnieniem dla ofiarodawców. Piękna, stylowa monstrancja została ufundowana przez rodzinę Kowalskich. Rola kościoła w Konstancinie, stała się wiodącą w mieście, mimo, że kościół był kościołem filialnym Parafii w Skolimowie. Ksiądz Żelazowski, potrafił zgromadzić wokół siebie elitę właścicieli nieruchomości, mieszkańców, a w szczególności młodzież. Kościół w Konstancinie stał się wiodącym ośrodkiem wychowawczym dla młodzieży i ośrodkiem pomocy dla biednych.

Ośrodkiem kultury i wychowania patriotycznego. Ośrodkiem promocji w zakresie powołań kapłańskich. Tu odbywały się nabożeństwa przyciągające do kościoła olbrzymie ilości dzieci i młodzieży.

Nabożeństwa „Majowe”, „Czerwcowe”, „Różańcowe” były odrębnymi nabożeństwami ze śpiewaniem pieśni, litanii przy akompaniamencie „fisharmonii”, na której grała Pani Ronikierowa. Mąż pani Ronikier miał sparaliżowane kończyny nóg i poruszał się na wózku inwalidzkim. Przed oczyma pozostał mi widok, pchającej wózek z chorym mężem do kościoła pani Ronikier na każde możliwe nabożeństwo. Państwo Ronikierowie mieszkali w skromnym małym domu na posesji przy ulicy Wilanowskiej. Po śmierci zdecydowali przekazać nieruchomość zakonnicom i obecnie na posesji państwa Ronikierów jest Kaplica z budynkami zakonnymi przy ulicy Wilanowskiej 26. Nabożeństwa w kościele odbywały się z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, okolicznościową nauką o historii kościoła, prawdach wiary i patriotyzmie oraz z uroczystą procesją wokół kościoła. „Chwalcie łąki umajone”, śpiewane przez młodzież, brzmiały, jak śpiew anielskiego chóru. Asystę stanowiło codziennie kilkudziesięciu ministrantów i kilkadziesiąt dziewcząt „bielanek”. Szczególny charakter miało ostatnie w miesiącu nabożeństwo majowe (31 maja), na które ksiądz Żelazowski zapraszał do Konstancina alumnów Warszawskiego Seminarium Duchownego wraz z jego Rektorem. Młodzi klerycy dawali popis pięknego męskiego śpiewu chóralnego i wspaniałą oprawę nabożeństwu i procesji. Homilię, o bardzo bogatej treści wygłaszał ksiądz Rektor Seminarium Duchownego. Taki zwyczaj panował w Konstancinie za czasów probostwa księdza Żelazowskiego. Kościół w Konstancinie stał się miejscem spotkań młodzieży. Ukradkiem przekazywanych wyrazów uśmiechu, pozdrowień pomiędzy chłopcami a dziewczętami. Czym zostali przyciągnięci ludzie młodzi do kościoła? Po pierwsze, ta możliwość spotkania się młodych poza domem i szkołą. Po drugie, szczególna atmosfera nabożeństwa. Po trzecie, system nagradzania, bardzo prosty. Wystarczył obrazek „Święty” z dedykacją księdza Żelazowskiego, czy też osobiste podziękowanie. Tradycją stało się uczestniczenie w nabożeństwach ludzi młodych. Na plebani były piłki do gry w siatkówkę, kosza, piłkę nożną. Na placu przed plebanią, pomiędzy sosnami można było rozegrać każdy mecz. Nabożeństwa, kończyły mecze. Napojem orzeźwiającym była woda ze studni przed plebanią. Ksiądz Eugeniusz Żelazowski, odbierając po meczach piłkę sprawdzał czy „boisko” nie wymaga wyrównania. W przypadku zastrzeżeń ruszały w ruch grabie i łopaty. Ministranci, których byłem członkiem od trzeciego roku życia mieli cotygodniowe zbiórki – spotkania, z księżmi w sprawach liturgicznych, nauki łaciny, zachowań podczas Mszy i uroczystości kościelnych. Po tych spotkaniach byliśmy zapraszani do sprzątania pomieszczeń plebani. Ministranci uczestniczyli w trzepaniu dywanów i wycieraczek. Nagrodą był poczęstunek przygotowany przez Panią Marię Burzyńską. Kanapki, porcja ciasta lub tortu, szklanka domowej oranżady. Wielokrotnie tę nagrodę poprzedzały rozgrywki piłkarskie przed plebanią. Wszystkie kościoły Konstancina były ostoją młodzieżowego życia parafialnego. Ministranci ze Skolimowa i Konstancina rozgrywali mecze piłkarskie na „boiskach” Królewskiej Góry (na terenie obecnej Lecznicy Ministerstwa Zdrowia, był naturalny, nieckowaty plac) lub Konstancina na łąkach kończących ulicę Jagiellońską. Bramki tworzyły żerdzie sosnowe. Księża organizowali grupy ministranckie, bielanek, koła zainteresowań, pielgrzymki, występy teatralne-jasełka, wyjazdy grupowe, wycieczki itd. W 1956 roku razem z księdzem Żelazowskim grupa ministrantów, a w niej moja skromna osoba, mająca niewiele ponad 9 lat, uczestniczyła w pielgrzymce na Jasną Górę i do Oświęcimia. W pamięci utrwalił mi się przerażający widok placu przed „ścianą śmierci”. Bruk i kanał ściekowy w kolorze wyblakłej czerwieni. Dziś będąc w tym samym miejscu, „ściana śmierci” wygląda jak improwizacja, a bruk jest zwykłym brukiem. Wtedy, przed laty było widać „tragedię” wymordowanych narodów. Takich pielgrzymek, wycieczek było bardzo dużo. Były jasełka, wystawiane przed głównym ołtarzem w kościele, w których odegrałem rolę „pasterza” i wiele innych inscenizacji. W kościele teksty pieśni były dostępne w książeczkowych śpiewnikach, ale ich posiadaczami byli tylko nieliczni parafianie. Ksiądz Żelazowski, wymyślił sposób przedstawiania tekstów pieśni dla wiernych na rozwiniętych rulonach papieru. Z Warszawskich Zakładów Papierniczych otrzymywał rulony odpadowego papieru kredowego o szerokości ponad 1,2 metra. Zakupił czcionki drukarskie typu „drukarski domowy” o wysokości liter ok. 6 - 8 cm i zwykły tusz do stempli. Wybrana grupa ministrantów pod nadzorem księdza, wieczorami drukowała w suterynie parafialnej, teksty pieśni na rulonach papieru, przystawiając przy drewnianej listwie, kolejne litery tekstu. Była to niesamowicie mozolna, a zarazem odpowiedzialna praca gdyż, nie sposób było skorygować błędnie raz przystawionej czcionki z tuszem do stempli. W ten sposób powstało kilkadziesiąt tekstów pieśni, które oprawione w drewniane listwy były wywieszane w kościele na specjalnym stojaku obok ołtarza Świętego Expedyta. Niezwykle barwną postacią przykościelną był kościelny Stanisław Sałyga. Wzorowo wypełniał swe obowiązki w kościele, a posiadając donośny głos intonował pieśni, przekrzykując organistkę. Miał też pewne słabości, szczególnie alkoholowe, czego nie znosił ksiądz Żelazowski. Kończyło to się awanturą i wypędzeniem kościelnego z kościoła. Później były przeprosiny, przebaczenie i powroty. Lecz mimo tej słabości Stanisław był postacią lubianą, życzliwą, pomocną i dlatego w wielu jego powrotach duży udział miały „negocjatorki parafialne”. Wiele osób służyło bezinteresownie kościołowi: grupa pań co tydzień sprzątająca i myjąca posadzki, pani Skoczkowa dbająca o kwiaty stanowiące dekorację ołtarzy, Panie „Liliputki” prowadzące

zbiórkę pieniędzy przed kościołem, sprzedające obrazki i dewocjonaia z ministrantami. Przed bramą kościelną zarosnięty i brudny „Dziad”, żebrzący o każdy grosz. W domu, w którym przebywał, po jego śmierci odnaleziono dość okazałą „fortunę”.

W 1957 roku, rozpoczęła się „Wielka Nowenna Narodu Polskiego” przygotowująca wiernych na 1000-lecie Chrześcijaństwa Polski (966-1966), pod hasłem „Ślubujemy wierność Bogu + Ewangelii + Krzyżowi + Kościołowi i Jego Pasterzom”. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w dniu 9 grudnia 1957 roku nawiedził parafię Skolimów. Potem miała miejsce wizytacja duszpasterska w parafii Skolimów przez Arcybiskupa Warszawskiego Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego – Prymasa Polski i bierzmowanie młodzieży z Konstancina i Skolimowa. Otrzymanie sakramentu bierzmowania z rąk Prymasa było zaszczytem, którego doznałem osobiście. Jak wielką radość sprawiły te uroczystości i możliwość kontaktu z Księdzem Prymasem na wolności nie trzeba tłumaczyć. Potem była wizyta duszpasterska Prymasa Polski w kościele w Konstancinie. Ksiądz Kardynał Stefan Wyszyński, trzykrotnie wizytował kościół w Konstancinie. „Ceremonienmajstrem” tych uroczystości była oczywiście Babcia Franciszka Milewska.

Dla mojej rodziny szczególnym wydarzeniem była uroczystość 50-lecia pożycia małżeńskiego Dziadka Stanisława z Babcią Franciszką w 1962 roku. Ceremonię kościelną przygotował osobiście ksiądz Żelazowski. Uroczystość, z asystą kościelną przyprowadził Jubilatów przed ołtarz do specjalnie przygotowanych klęczników. Dokonał osobistego powitania, a następnie poprowadził uroczystą Mszę Świętą z homilią dziękczynną za przeżyte lata i służbę rodziny Milewskich kościołowi. Miała ona na tyle urok osobisty, że również zawierała elementy dobrego żartu, powodującego wybuch śmiechu u uczestników uroczystości. Na koniec uroczystości, składając żartobliwie życzenia „młodej parze”, ksiądz Żelazowski wręczył Jubilatom pamiątkową publikację oraz specjalnie przygotowane ozdobne laski z życzeniami wsparcia na dalszą drogę życia. Uroczystość domową, uświetniła obecność księdza i olbrzymi tort ofiarowany dziadkom przez panie Józję i Anię znajome mieszkanki domu przy ul. Batorego 23.

Ksiądz Eugeniusz Żelazowski był wspaniałym duszpasterzem i jednocześnie znakomitym gospodarzem i organizatorem. W czasach, kiedy wszystkie materiały budowlane można było otrzymać jedynie z przydziału otrzymanego z Gminy, ksiądz przy pomocy parafian uzyskał przydział na cement i pod nadzorem pana Passona rozpoczął produkcję płytek chodnikowych na potrzeby kościoła. Boisko przy plebani stało się wytwórnią płytek. Ręczne mieszanie cementu z piaskiem, zalewanie form, układanie do suszenia na wyrównanym podłożu płytek wykonywali bardziej dorośli ministranci, Stasio kościelny, pan Passon i inni. Gotowe i wysuszone płytki były przewożone przed kościół i układane przed wejściem i na alejkach. Dwie posiadały wyrytą datę, napis z nazwiskami i inicjałami osób, które je wykonywały.

Spośród ministrantów, powołaniami kapłańskimi zostali obdarzeni księża: Marek Passon, Bogdan Jaworek, Jerzy Dębowski. Ksiądz Matek Passon uzyskał w 1954 roku święcenia kapłańskie. Edukację księży Jaworka i Dębowskiego mocno wspierał ksiądz Żelazowski i oddani tej misji sponsorzy. Uroczyste Msze Prymicyjne wszystkich trzech księży odbyły się w Konstancinie. Z Jurkiem Dębowskim chodziłem do tej samej klasy szkoły podstawowej w Konstancinie. Pamiętam zdarzenie, jakie spotkało księdza Żelazowskiego, późniejszego opiekuna alumna seminarium duchownego, w czasie wizyty duszpasterskiej księdza w domu Państwa Dębowskich. Ksiądz Żelazowski lubił żartować i być przekornie dowcipnym do nieraz bardzo poważnych wypowiedzi dorosłych i dzieci. Tak się stało w czasie wizyty duszpasterskiej u Państwa Dębowskich na żart księdza, niezadowolony Jureczek odpowiedział stwierdzeniem „Głupie Żelazo”. Konsternację uratował sam ksiądz Żelazowski, zdaniem: „Jaki żart taka i ocena” i pozostał najwspanialszym opiekunem Jurka w czasie studiów w Seminarium Duchownym w Warszawie. Opieką i pomocą materialną kościół otaczał też rodziny wielodzietne np. Hetków i Zalewskich. Postawa księdza Żelazowskiego i uznanie, jakim go otaczano, zostało w 1964 roku docenione, powołaniem w Konstancinie samodzielnej jednostki duszpasterskiej, a następnie odrębnej parafii.

Pośród ministrantów była i młodzież dorosła. Wspomnę niektórych: Tomek Kowalski, Marek Szaniawski, Andrzej Hempel, Kazik Ponikły, Tadek Jarząbek i inni. Były to pokolenia zbliżone wiekowo do Julka Hennisza. To oni tworzyli pierwsze grupy młodzieżowe, kluby. Uczestniczyły w nich i dziewczęta, wspaniałe koleżanki np. Joasia Żurowska, Maryla Müller, Ola Szewczyk. Taki klub istniał przez pewien czas w willi przy ul. Warszawskiej (obecnie Piłsudskiego 50). Ponieważ byłem młodzieńcem wysokim i akceptowanym przez starszych kolegów, stąd bywałem na wielu spotkaniach o bardzo ożywionych dyskusjach ludzi młodych. Tematyką tych spotkań było wszystko, co nas otaczało. Duch wychowania patriotycznego unosił się w powietrzu. Była jak przystoi młodości i rozrywka. Tata Piotrka Jaroszewicza przebywał wielokrotnie za granicą i przywoził płyty gramofonowe z najnowszą muzyką. W Polskim Radio w tym czasie najczęściej brzmiały słowa piosenki „Płynął strumyk” i pieśni ludowe, a my u Staśka Niedzieli w willi „Este” słuchaliśmy pierwszych nagrań Elvise Presley’a. Na radioodbiornikach z trudem udawało się złapać „Radio Luksemburg” i przy ogłuszających trzaskach posłuchać muzyki „rockowej”. Starszych kolegów i koleżanki coraz bardziej zajmowała nauka na wyższych uczelniach, a

kolejne, moje pokolenie ministrantów poszukiwało poza kościelnymi i poza szkolnymi zajęciami dla spędzenia wolnego czasu. Takim rozwiązaniem były wieczorne spotkania i spacerowanie grup kolegów z dyskusjami do późnych godzin nocnych. Szczególną datą w każdym roku był dzień 1 sierpnia i godzina „W” oraz kolejne 63 dni trwania w marzeniu o wolności. Pamięć zdarzeń z kolejnych dni Powstania Warszawskiego osobiście pilotowana przez Zbyszka Bednarczyka. Spotkania w kawiarni „Marysieńka” i restauracji „Świerkowej”. Ponieważ posesja przy ulicy Batorego 28 posiadała stare alejki spacerowe, natchnieni duchem rozwoju polskiej lekkoatletyki postanowiliśmy z kolegami organizować zawody sportowe. Po alejkach odbywały się biegi na 100, 200, 400 i 800 metrów. Odległości zostały przez nas wymierzone w sposób przybliżony. Zwykły zegarek zastąpił z czasem stoper. Na pobliskich łąkach były skocznie w dal i wzwyż, rzutnie oszczepem i dyskiem, a obok domu rzutnia kulą. Wyniki były rejestrowane. Bicie rekordów „podwórka”. W zawodach uczestniczyło zawsze kilkunastu chłopców. Niektórzy z nich po przejściu mody na zawody podwórkowe trafili pod skrzydła pana Michalskiego do sekcji ogólnorozwojowej RKS „Mirków”. Pan Michalski, człowiek dusza, który poświęcił się całym sercem dla sportu i młodzieży, organizując zajęcia i obozy sportowe. Do ostatnich chwil życia, interesował się losem, jaki spotkał jego wychowanków.

Dzieciństwo przeminęło z wiatrem, pozostały wspomnienia, dla jednych ważne dla drugich bez znaczenia. Zatarły się w pamięci obrazy i postaci minionego okresu. Niektóre już zapomniane. Pisząc te wspomnienia nie zamierzałem pisać historii, a jedynie przybliżyć atmosferę życia i nazwiska ludzi, którzy w Konstancinie mieszkali i żyli. Nie wszyscy byli właścicielami pięknych nieruchomości, bo i nie mogli być, ale tu żyli, tu przeżywali swoje radości i smutki, zaznaczając swoją obecność w Konstancinie. Nie wszystkich też da się wymenić i opisać. Proszę mi wybaczyć. Miało być kilka kartek, a powstało kilkanaście. Pisząc te wspomnienia uświadomiłem sobie, jak szybko mija czas i zanika pamięć o ludziach, którzy odeszli. Ja, idąc do kościoła, kiedy spojrzę w prawo w ulicę Batorego widzę oczyma wyobraźni, idącą jak zawsze do kościoła podpierającą się laską, panią Kowalską. Jak wiele obrazów zostało w pamięci. Tak jak ściana śmierci w Oświęcimiu przypomina o tragedii narodów, niech moja, może mało literacka opowieść przypomina ludzi i czasy, które odeszły. Jakie obrazy pozostaną w pamięci obecnym i następnym pokoleniom, to wszystko zależy tylko i wyłącznie od uczestników zdarzeń w historii Konstancina. Przed społeczeństwem Konstancina jeszcze bardzo daleka droga i praca, aby dojść do stanu miasta, jaki ja zastałem przychodząc na świat w 1946 roku. I nie chodzi tu o cofnięcie czasu historii, a o odnowę moralną i psychologiczną odkrywającą Uzdrawisko Konstancin z za drzwi własnego lokalu mieszkalnego, czy płotu posesji. To za drzwiami lokalu, czy za bramą posesji jest Konstancin, a nasze mieszkanie czy posesja jest tylko fragmentem, drobną częścią tego miasta-ogrodu, który jest częścią Miasta i Gminy Konstancin-Jeziorna. Unikalny klimat przyrodoleczniczy Konstancina tworzy przyroda: lasy, tereny zielone, park, przepływające wody, wydobyte z głębi ziemi solanki. Chciałbym abyśmy My mieszkańcy Konstancina i Gminy Konstancin-Jeziorna, docenili ten niesamowity dar natury, jaki posiadamy, otaczali się zadbanymi ogrodami, ulicami i szanowali miejsca, z których wszyscy korzystamy. Park niech będzie miejscem wypoczynku dla ludzi, a nie miejscem do wyprowadzania psów i dewastacji wszystkiego, co na drodze. Nasi poprzednicy, w tym m.in.: Witold hr. Skórzewski przy parcelacji, zarządy Towarzystwa Akcyjnego Ulepszonych Miejscowości Lecznicych oraz władze miejscowe II Rzeczypospolitej tworzyli letnisko, miasto-uzdrawisko, miejsce odpoczynku i leczenia przywracającego zdrowie i radość życia. Na Nas ciąży obowiązek zachowania tego miasta-ogrodu i funkcji uzdrawiskowej miejscowości, by następne pokolenia nie mogły Nam postawić niewybaczalnego zarzutu zaniechania, którego się dopuściliśmy, a w pojęciu ogólnym pozostało jedynie stwierdzenie „Był sobie Konstancin”, jak nazwał przewrotnie swoją publikację o Konstancinie Tomasz Lachowski. O zachowanie pierwotnej funkcji Konstancina, jego obiektów zabytkowych, rozwój bazy przyrodoleczniczej, zabiega od prawie dwudziestu lat Towarzystwo Miłośników Piękna i Zabytków Konstancina im. Stefana Żeromskiego. Towarzystwo podjęło tę działalność gdyż, wielu mieszkańcom, radnym gminy i miasta, które wchłonęło administracyjnie Konstancin w swoje struktury organizacyjne trudno uwierzyć w ten unikalny dar natury, jaki ta miejscowość posiada. Uwierzyli, po latach okupacji i powojennego zastojem w to radni Konstancina, doprowadzając do podjęcia uchwały 30 października 1972 roku przez Wojewódzką Radę Narodową o utworzeniu Uzdrawiska Konstancin wraz z oznaczeniem obszarów ochronnych uzdrawiska, co stworzyło naturalne warunki do prowadzenia i rozwijania lecznictwa uzdrawiskowego oraz prawne warunki dla rozwoju Uzdrawiska Konstancin. Przez 35 lat nie powstał plan rozwoju lecznictwa uzdrawiskowego i plan zagospodarowania przestrzennego obszaru chronionego „A”. To, co zaskakuje, coraz liczniej odwiedzających Konstancin, mieszkańców kraju i obcokrajowców, to ograniczona baza lecznicza i brak infrastruktury miejskiej umożliwiającej relaks, odpoczynek. Na pytanie: „Jak te 35 lat wykorzystaliśmy dla rozwoju uzdrawiska, ochrony zabytków i naturalnej przyrody obszarów chronionych, do czego zobowiązuje Nas ustawa uzdrawiskowa”, musimy odpowiedzieć sobie sami.

P.S. Wspomnienia te dedykuję mojej rodzinie i tym wszystkim, którym wspomnienie mojej Babci Franciszki

Milewskiej nie było obojętne.

Konstancin-Jeziorna, lipiec 2007 roku

Tomasz Henryk Milewski, ur. w 1946 roku w Królewskiej Górze. Od urodzenia związany rodzinnie i zawodowo z Konstancinem-Jeziorną. Członek założyciel Towarzystwa Miłośników Piękna i Zabytków Konstancina. Wyróżniony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego srebrną odznaką "Za opiekę nad zabytkami"